NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 28. DETROIT, MICH., 13-go MARCA 1892 ROKU. ROK 1.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

13	Marca	N.	Nicefora Bisk.
14	,,	P.	Zacharyasza B.
15	,,	W	Longina Męcz.
16	,,	Ś.	Cyryla B.
17	,,	C.	Giertrudy Wd.
18	,,	P.	Gabryela Ach.
19	,,	S.	Józefa Obl. N.M.P.

Listy i przedpłatę
WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:
The Polish Weekly
„NIEDZIELA"
DETROIT, MICH.
POLISH SEMINARY,
Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

	Rocznie	Półr.	Kwart.
W Stanach Zjedn.	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50.

Rękopisów drobniejszych Redakcya nie zwraca.

MATKI! OJCOWIE!

MÓWCIE Z DZIEĆMI PO POLSKU!!!

OD REDAKCYI

☞ **Przedpłatę na „Niedzielę" i dokładne adresy wysyłć należy do Seminaryum Polskiego w Detroit, pisząc:**

Office of „NIEDZIELA"

DETROIT, MICH

Polish Seminary.

☞ **Piszcie, o ile można, czytelnie.** ☜

Łaskawego pośrednictwa w odbieraniu przedpłaty na ,,Niedzielę" podjęli się następujący panowie:

W Detroit, (Mich.) Pan Władysław Maior, 781 St. Aubin Ave.
" " " Jan Lemke, 823 St. Aubin Ave.
" " " J. Piotrowski, 302 Canfield Ave. E.
" " " Michał Pranga, 101 St. Joseph St.
" " " Wojciech Siwa, 724 Riopelle St.
" " " Emil Makowski, 790 Dubois St.
Milwaukee, Wis. Pan M. Szarzynski, 414 Mitchell Ave.
E. Saginaw, Mich. " Ignacy Poplewski.
" " " " Franc Mordec, Perkins str.
Elmira N. Y. " M. Budzikowski, 266 W. Hudson St.
W Lemont, (Ill.) Pan Piotr Maday.
Chicago, Ill. Pan Adam Majewski, 664 Noble str.
Cleveland, Ohio " J. Małkowski, Woodland Cemetery Office.
W South Bend, Ind. Pan Michał Duszyński, 1501 Fisher St.
" Posen, Mich. " Albert Klimaszewski.
" Baltimore, Md. " I. K. Zanto, 817 S. Ann Str.
W Buffalo, New York Pan A. Nowak, 1210 i 1212 Broadway st.
,, ,, ,, ,, ,, Antoni Chajewski 39 Townsend str.
W Williamsbridge, N. Y. ,, Franciszek S. Jarmuż

☞ Ktoby życzył sobie w innych Stanach i Miastach podjąć się łaskawego pośrednictwa i bratnie usługi w tym względzie — niech raczy zgłosić się do Redakcyi listownie:

CZAS KOLEJOWY.

Wszystkie pociągi odchodzą według czasu kolejowego (standard time) t. j. 28 minut później niż czas Detroicki.

DETROIT, LANSING & NORTHERN KOLEJ ŻELAZNA. Stacya w Detroit przy końcu ul. Trzeciej.

Trzy eleganckie pociągi do Grand Rapids i nazad codziennie wyjąwszy niedzieli. Pięć pociągów Expresowych do Lansing iz powrotem codziennie wyjąwszy niedzieli. Wychodzą z Detroit rano o godz. 7.00—10.55. Po południu o g. 1.15; 4.50; 5.40—łączą się na Union Depot w Grand Rapids z Koleją CHICAGO & WEST MICHIGAN.

Pociągi z Grand Rapids odjeżdżają do Chicgago rano o g. 9.00 w południe o g. 12.05 i o g. 11.35 w nocy.—Czas podróży 5 godzin i 15 minut. Pociąg odchodzący z Grand Rapids o godz. 11.35 w nocy codziennie ma bez zmiany wagony sypialne, które przychodzą do Chicago o godz. 7.05 rano.

Pociąg wychodzący z Detroit o g. 1.15 po poł., przybywa do Grand Rapids o g. 5.15 wieczorem—zaraz się łączy z pociągiem C. & W. M. i przybywa do Manistee o g. 10.22 w nocy—do Traverce City o g. 10.59 w nocy—do Elk Rapids o g. 11,59 w nocy; do Holland przybywa o g. 6.25 po poł.; a do Muskegon o 7.35 wieczorem.

SAGINAW VALLEY & ST. LOUIS jest najkrótszą linią pomiędzy Grand Rapids i Saginaw. Pociągi odjeżdżają z Grand Rapids o g. 7.05 rano i o 4.15 po poł. Odchodzą z East Saginaw o g. 7.35 rano i o 5.55 po poł. Podróż trwa 4 g. i 15 m.

W. M. A GAVETT Agent Generalny w Detroit. Bióro biletów (Ticket Office) i towarowe znajduje się w gmachu zwanym Hammond Building—na dole numer 120 przy ul. Griswold—inne wejście jest także od ul. Fort. Telefon 368.

CHAS. M. HEALD, Gen. Mgr. w Grand Rapids.
GEO. DeHAVEN, Gen. Pass. Agent w Grand Rapids.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 28. DETROIT, MICH., 13-go MARCA 1892 ROKU. ROK 1.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.



MICHAŁ ANIOŁ.

Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

Jeszcze o kradzieży.

Gdzie się obrócisz, przekleństwa i narzekania na złych ludzi, i złe czasy i kroku nie postąpisz, żebyś nie usłyszał o jakiem nieszczęściu! Temu ukradli to, temu owo—tu zboże, tam ziemniaki — jednemu pieniądze, drugiemu przyodziewkę — i tak prawie nie ma miasta, wsi, nie ma domu, gdzieby się nie wydarzyła jaka kradzież. — Źli ludzie, nie ma co mówić, i gdyby jeszcze policya nie przestrzegała porządku, nie wiem coby się stało? Podobnoby nikt nie był ani swego majątku, ani swego życia pewny, i wszyscyby pośli na rozbój. — Ten, co się jakiegoś kawałka chleba w krwawym pocie czoła swego dorobił, co ma i bydełko, i kilka korcy zboża na składzie, musiałby we dnie doglądać, i w nocy nie spać, ale z bronią w ręku pilnować domu swego bez ustanku, bo byle próżniak lub złodziej każdej chwili mógłby go okraść. — Niestety, nie wartoby było żyć na świecie, ani pracować na kawałek chleba, gdyby nam go pierwszy lepszy leniuch mógł wydrzeć! — Leniuch, mówię, albowiem wszyscy złodzieje są próżniacy, bo każdego złodzieja praca w ręce kole; — nie z głodu, ani też nie z biedy oni kradną, lecz dla tego, że się im robić nie chce. — Gdyby złodzieje byli słabi, chorzy i głodni, toby zapewne mocnych zamków ode drzwi odrywać i żelaznych krat w oknach łamać nie potrafili. Kiedy zaś tak są silni, że żelazo łamią, i po korcu zboża lub ziemniaków wynoszą, to się zdaje, iżby może i orać, i młócić i drzewo rąbać podołali. — Nie zasługują zatem na żadne względy ani miłosierdzie, bo kto uczciwy, i ma chęci dobre, ten zawsze znajdzie jakiś zarobek na świecie, łatwo się wyżywi, i jeszcze parę groszy usporzyć może.

Cóż zatem począć, abyśmy się tych próżniaków, włóczęgów i złodziei pozbyć mogli?

Rzecz bardzo łatwa, byleśmy się tylko wszyscy za ręce wzięli, i szczerze sobie pomagać chcieli.

Gdzie sędzia dobry, a urząd policyjny nie leniwy, tam się nie prędko złodziej pokaże, bo policyanci znają w swoim obwodzie każdego z osobna; — wiedzą o każdym, jaki jest, jak się zachowuje, czem się trudni, i z czego żyje? Czy się nie włóczy po nocach, czy nie chodzi po targach, choć nie ma nic do sprzedania, i nic nie kupuje, chyba co pięcioma za darmo ułowi palcami? To wszystko oni dobrze wiedzą, i powiadam wam, iż nie ma prawie złodzieja o którymby nie wiedziano, lub przynajmniej w podejrzeniu go nie miano.

Więc jeżeli się taki gdzie znajdzie, to uczciwy policyant winien śledzić go pilnie, bacząc na każdy krok jego, we dnie i w nocy zaglądać, czy jest w domu, czy gdzie na kradzież nie wyszedł? — i tak go ściśle doglądać, żeby się raczej albo wyniósł, albo swój szkaradny nałóg porzucił, pod tak ścisłym zostając dozorem.

Jeżeliby zaś policyant sam nie mógł podołać, lub nie miał dobrej chęci, albo co gorsza pozostawał w spółce ze złodziejami, póki to się wydarza — to wtedy cała wieś lub sąsiedzi czuwać, i strzedz się powinni, bo strzeżonego P. Bóg strzeże, mówi przysłowie. Wtenczas, kiedy się częste pojawiają kradzieże, sąsiad sąsiadowi dopomagać, — ale też i sąsiad sąsiada doglądać powinien, czy nie spółniczy ze złodziejami, czy ludzie podejrzani u niego nie bywają, lub czy sam czasami nocną porą nie wychodzi z domu?— A szczególniej powinni wszyscy uważać na odległe chaty po granicach, przy wąwozach, i lasach, i gdzieby złodzieje łatwiejszy przystęp mieć mogli.

A do tego już własne bezpieczeństwo i spokojność własna zachęcać wszystkich powinna, — bo któżby mógł spokojnie zasypiać, gdyby się co chwila lękał, że go sąsiad lub zły człowiek tej nocy okraść może, któżby chciał pracować lub zbierać majątek dla dziatek swoich, gdyby się zawsze musiał obawiać, że mu to wszystko, co krwawo zarobił, pierwszy lepszy złodziej wydrzeć może?—

A wiara — a honor — a sława, to za nic?—

Wszakżeż w świecie znajome są te miejsca, gdzie się częste pojawiają złodziejstwa, lub gdzie najwięcej przebywa złodziei. I cóż o tych wioskach i o ich mieszkańcach świat mówi, którzy nie dbając ani na własną wiarę, ani na własną sławę, hańbią się kradzieżą, i spólniczą ze złodziejami?

O w takich to miejscach szczególniej, policya i wszyscy mieszkańcy uważać, doglądać i pracować powinni, aby się tam nie pojawiła żadna kradzież, aby tam nie przebywali włóczęgi i ludzie złej wiary.

Lecz nie dość jeszcze na tem abyście się tylko sami wystrzegali złodziejstwa i śledzili złodziei, —trzeba także na to uważać, by nikt między wami od podejrzanych ludzi nic nie kupował, ani skradzionych nie przechowywał rzeczy!

Bo zaprawdę słusznie mówi przysłowie:

„Gdyby się złodziejom sprzedać nie dało,
I kraść by im się odechciało."

A kto od złodzieja kupuje, albo skradzione przechowuje rzeczy, ten się sam złodziejem staje—i w razie, jeżeli złodziej sam nie wynadgrodzi, kupujący i skradzione rzeczy przechowujący wynadgrodzić pokrzywdzonego według praw Boskich i ludzkich w sumieniu jest zobowiązany.

Wy to szczególnie, którzy od służących, dzieci i od domowników, sąsiadów waszych odbieracie lub kupujecie po garści zboża, po torbie ziemniaków — bierzecie sól i inne rzeczy, wy to dobrze wiecie, iż to nie jest ich własnością, bo oni nic nie posiadają, ale co wam wydają, lub sprzedają to gospodarzom swoim porywają—więc też za nich i za siebie odpowiadać będziecie, bo gdybyście od nich nic nie odbierali, oniby zpewnością gospodarzy swoich nie okradali—wy to za to zatracicie na wieki zbawienie i duszę waszą, bo jak mówi Pismo św.: „Kto współdziała ze złodziejem, ma w nienawiści duszę swoją."

Żadnej tu nie ma wymówki, bo gdyby kto powiedział, nie kupię ja, to kupi drugi, bardzoby on się nie dorzecznie wymawiał; — tak samo bowiem możnaby powiedzieć, nie ukradnę ja, to ukradnie drugi, nie zabiję ja, to zabije drugi—więc kradnijmy, zabijajmy! — Niema zatem, niema żadnej wymówki dla tych, którzy

od złodziei kupują, albo skradzione przechowują rzeczy, ale owszem oni sami współwinowajcami złodziei się stają. Więc uważajcie jeden na drugiego i sąsiad niech dogląda sąsiada, by nikt ze złodziejami nie trzymał i skradzionych rzeczy nie kupował i nie przechowywał, a jeżelibyście coś podobnego spostrzegli, to najprzód ostrzeżcie i upomnijcie łagodnie; gdyby zaś to nie pomogło, dajcie znać do urzędu nawet, a ten już będzie wiedział co począć, aby ci spólnicy złodziei pod sąd pociągnięci i ukarani być mogli.—A tak jeszcze raz powtarzając, mówię wam, jeżeli chcecie byście nie utracili ciężko zapracowanego majątku, nie utracili wiary i szacunku u ludzi i nie utracili błogosławieństwa Bożego, to czuwajcie sami nad sobą, doglądajcie i drugich, a szczególnie wyszukujcie spólników złodziei i przechowywaczów skradzionych rzeczy:

,,Bo gdyby się złodziejom sprzedać nie dało,
I kraść by im się odechciało!"

Lecz i na tem jeszcze nie koniec, choćbyście obcych odstraszyli, gdyby was mimo tego własni wasi i domowi okradli złodzieje.—Kto chce chwast wygubić, z korzeniem go wyrwać musi, — kto chce złemu zapobiedz, w źródle go tamować powinien, — więc trzebaby najprzód w domu zrobić porządek, bo jeżeli jak dawniej sami do złodziejstwa dzieci wasze już za młodu zaprawiać, jeżeli je na owoce lub na ziemniaki wyprawiać będziecie,—jeżeli ich nie skarcicie, kiedy przyniosą obcą kurę lub obcego gołębia do domu — darmo już potem narzekać, gdy w starości waszej nietylko dzieci, ale za ich przykładem i domownicy i słudzy was oszukiwać i okradać będą!

Oj biada takim rodzicom, którzy się stają nieszczęścia swych dzieci przyczyną i nieraz na ich śmierć haniebną patrzeć muszą. Oby się następujący przykład stał dla nich zbawienną przestrogą!

Pewna matka miała syna jedynaka, którego bardzo kochała i któremu na wszystko zezwalała, bo to była, jak wyrażała się sama, cała jej pociecha. Nigdy go nie karała, nigdy do posłuszeństwa i pobożności nie przyzwyczajała. Pacierza nie umiał; bo kiedy przyszło zmówić paciorek, a synek się skrzywił, to go matka wolała pieścić i całować jak nauczać modlitwy Pańskiej i przykazań Bożych.—To też synek wzrastał bujnie, ale nie w bojaźni Bożej, tylko w rozpuście i swawoli, bo się nie nauczył ani Boga kochać, ani matki szanować. Kiedy był jeszcze małym porywał matce co mu się spodobało, to gruszki, to jabłka, to grosze, to inne drobnostki, a matka go nigdy za to nie karała, ale owszem kiedy podrósł jeszcze go przyuczała do kradzieży, bo mu nieraz kazała iść do sadu sąsiada na owoc—albo w pole po cudze zboże.—Kradł więc z początku drobne rzeczy, ale jak się to zwykle dzieje od guziczka wziął się do rzemyczka, od rzemyczka do koniczka a z koniczka spotkała go szubieniczka.

Kiedy bowiem razu pewnego poszedł kraść konie, a przy tej kradzieży zabił gospodarza, który chciał bronić swej własności złapano go na gorącym uczynku i oddano do kryminału. Sąd go za zabójstwo na śmierć skazał i wywiedziono go za miasto na plac tracenia. Tu tedy, gdy go już miano ciągnąć na szubienicę, zobaczył między ludem zgromadzonym i własną matkę rzewnie płaczącą. Prosił więc sądu, by mu się jeszcze z matką po raz ostatni pożegnać pozwolono—i otrzymał o co prosił. Kiedy się zatem do niego matka przybliżyła, on się ku niej nachylając, jak gdyby jej coś do ucha chciał był powiedzieć, tak ją mocno ukąsił w ucho, iż się aż zakrwawiła i strasznie krzyczeć poczęła! —

Ludzie widząc taką zbrodnię, oburzyli się i poczęli wygadywać: co za łotr, co za bezbożnik, kiedy jeszcze przed samą śmiercią własną matkę kąsa!

Lecz zabójca obróciwszy się do ludu odezwał się w te słowa: ,,kochani ludkowie! nie dziwujcie się, bo musicie wiedzieć, że moja matka jest mej hańby i śmierci przyczyną. Najprzód mię nie karała kiedym jej, lub sąsiadom porywał jabłka lub gruszki, potem mię sama na kradzież wysyłała, odbierała odemnie i sprzedawała skradzone rzeczy i tak przyzwyczajałem się coraz bardziej do złodziejstwa, a robić mi się nie chciało, bom nie nawykł był do pracy. Otóż teraz ginę haniebną śmiercią, a to z przyczyny mej matki, bo gdyby mię z początku była karciła, do pracy przyzwyczajała i nauczała pacierza, mógłbym był zostać uczciwym człowiekiem—a tak umierać muszę na szubienicy, niech więc pamięta, że jest mej śmierci przyczyną."

Tu złoczyńca przestał mówić i został powieszonym. Lud zaś wzruszony wracał do domu i ćwiczył dziatwę swoją w bojaźni Bożej, aby podobnego nieszczęścia i podobnej nie doznał sromoty!

O, gdyby to wszyscy posłuchać chcieli, gdyby wszyscy najprzód porządku w domu swoim przestrzegali, dziatki w karności trzymali, aby nikomu i na szpilkę nic nie ruszyły—gdyby wszyscy służącym nakazywali, aby nikomu, ani w lesie, ani w polu szkody nie czynili—gdyby sąsiad szanował dobro sąsiada — gdyby przełożeni ściśle nad tem czuwali, aby się po wsiach nie gnieździli i nie przechowywali złodzieje, nareszcie gdyby każdy pilnował swego i nie pragnął cudzego, jakżeby było żyć miło na tym świecie i wszyscyby się lepiej mieli, bo Bóg wszystkim by więcej błogosławił!

Niechaj zatem, jak mówi Pismo św.: ,,kto kradł już więcej nie kradnie, ale raczej pracuje robiąc rękoma swemi co jest dobrego—bo złodzieje nie wnijdą do królestwa Niebieskiego"; a ci co skradzione rzeczy kupują, albo przechowywają, niczego się nie dorobią i nie będą mieli błogosławieństwa, bo powiada św. Wincenty:—,,Jeżeli sprawiedliwym sposobem zarobisz tysiąc groszy, a jeden tylko między niemi niesprawiedliwy by się znalazł, to ten jeden niesprawiedliwy wszystkie sprawiedliwe zniszczy" i wcześniej czy później ,,ubóstwo będzie od Pana w domu niesprawiedliwego."

NA WĘZEŁ OJCZYSTY.

Teodor Dersszniak
mieszczanin z Halicza.

Miasto Halicz jest bardzo starem miastem na Rusi; był tam—jak powiadają—skład soli, zakupywanej przez pogan Greków jeszcze przed Narodzeniem p. Jezusa, stąd podobno ze słowa greckiego „hal" t. j. sól, zostało miasto nazwane H a l i c z e m.

Lat temu przeszło sześćset przebywał w Haliczu król Koloman z Węgier, ożeniony w Krakowie z królewną polską: Salomeą, która po śmierci męża wróciła do Krakowa, a następnie razem ze św. Kunegundą osiadła w klasztorze w Starym Sączu i tam też umarła, dziś zaś uważaną jest za świętą.

Później król polski, Kazimierz W., przyłączył Halicz do krajów polskich; wtedy to był tu biskup, którego potem przeniesiono do Lwowa, dalej był tu wojewoda, mający pod swoją władzą dwa powiaty: Trębowlę i Kołomyję. Do dziś stoją w Haliczu stare mury miejskie i stary zamek.

To, co wam opowiemy o Haliczu i o jego mieszczanach, stało się roku pańskiego 1624 za króla Zygmunta III., a więc lat temu 260 z okładem. W tych tedy czasach rok po roku napadali Tatarzy na kraje ruskie i polskie aż po Jasło i Tarnów, nawet ich cesarz Chan Kantymir był aż około Rzeszowa.

Tatarzy wpadli z kraju Wołochów przez góry węgierskie Karpaty na Ruś i szli na Sambor, Przemyśl; aż około Przemyśla dzielił się gościniec na drogę do Krakowa i do Węgier przez Duklę, więc i Tatarzy podzielili się na dwie części, z których jedna poszła na Dynów, Brzozów aż pod Jasło, a druga poszła na Radymno, Jarosław, Rzeszów aż pod Tarnów; co tylko było na drodze, wszystko to hordy tatarskie rabowały, paliły, zabierały z sobą, a zabierały nawet młode dzieci, krępowały trokami i gnały przed sobą. Zrobił się więc istny sądny dzień w dzisiejszej polskiej Galicyi.

W wielu miejscach obronili sami chłopi swoje wsie z kościołami i dworami i odegnali Tatarów: n. p. chłopi w Bliznem koło Brzozowa, w Nowosielcach, Urzejowicach około Przeworska itd. Dopiero odpłacił Tatarom doskonale Hetman Stan. Koniecpolski. Był on w Krakowie u swej żony Lubomirskiej na Wielkanoc i tam zabawiał się z rodziną aż do Świątek zielonych. Aż tu donoszą mu ludzie o Tatarach. Pożegnał żonę i popędził co jeno mógł do Lwowa. Koło Rzeszowa na błoniu pobił jedną gromadkę Tatarów; dziś stoi tu wieś Pobitna tak nazwana, bo na tych błoniach nieraz była tu bitwa krwawa z Wołochami, Tatarami, Kozakami, a za czasów konfederacyi barskiej z Moskalami.

Z pod Rzeszowa powróciło dużo młodych dziewcząt i chłopaków do domu, gdyż odbił ich od Tatarów pan Stan. Koniecpolski z pomocą panów, mieszczan i wieśniaków, a nawet porabowane rzeczy odebrali sobie biedni ludzie.

Daleko znaczniejsza horda Tatarów obładowana rabunkiem wracała drogami na Przemyśl, Sambor, Halicz, a stąd przez góry do kraju Wołochów i do domu.

Otóż wojsko polskie zebrane na prędce, biegło do Lwowa ku Haliczowi, aby Tatarów dopędzić nad rzeką Dniestrem, przez którą musieli się pohańcy przeprawiać. A na wodzie szerokiej i głębokiej było można prędzej Polakom dojechać Tatarów niż na błoniu.

W Haliczu mieszczanami byli Rusini, trzymający się Polaków ciałem i duszą. Między nimi najbardziej zuchowatym był Teodor Dersszniak. Kiedy więc Tatarzy wracali ku Haliczowi z rabunkiem, miasto Halicz uradziło jednogłośnie zamknąć bramy miejskie i bronić miasta, dokąd się skryło dużo ludu ze wsi pobliskich.

Tymczasem Teodor Dersszniak dowiedział się, że od Lwowa ciągnie z wojskiem Hetman Stan. Koniecpolski, a więc wysłał do niego z prośbą, aby poradził mieszczanom, co robić: czy czekać na wojsko polskie w mieście, czy za miastem, czy bić najprzód Tatarów, czy zaczekać na Hetmana, który umiał doskonale wojować z Tatarami, gdyż bił ich nieraz choć nawet był 4 lata w jasyrze t. j. w niewoli tureckiej i dopiero za wielką sumę został z tej niewoli wykupiony i szczęśliwie wrócił do żony swej w Krakowie.

Pan Hetman wybrał z pomiędzy swoich rycerzy, którzy pędzili za Tatarami ku Haliczowi, jednego śmiałka wielkiego, który się zwał Marcin Łącki i taki mu dał rozkaz:

—Idź mi p. Marcinie z tymi poczciwymi mieszczanami do Halicza, przygotuj całe miasto do obrony, podziel mieszczan i wieśniaków na dwie części, aby połowa została w mieście do obrony z Teodorem Dersszniakiem a druga połowa t. j. sami odważni, poszli za rzekę Dniestr z tobą i tam na brzegu przeciwnym ukryli się. Kiedy Tatarzy zechcą miasto rabować, to moje wojsko nie da, a jak Tatarzy zaczną rzekę przepływać, to my na nich wpadniemy z boku i z tyłu, a który z nich przepłynie na drugą stronę, to wy bijcie i spychajcie ich konie do wody, a znowu moje wojska pójdą wpław za Tatarami i tak z pomocą Bożą wytopimy choć część tych rabusiów a resztę popędzimy za góry, skąd przyszli.

Marcin Łącki wrócił do Halicza z mieszczanami i zrobił tak, jak Hetman nakazał. Tatarzy przybywali z za Sambora z łupami na swoich tatarskich wozach i koniach, a znowu prowadzili tysiące młodych dziewcząt i chłopaków zabranych, powiązanych trokami a biedactwo płakało i jęczało, aż było słychać w Haliczu i daleko na całą okolicę.

Było to w lecie około św. Antoniego. Matki i ojcowie powrócili z ukrycia do wsi, a tu wsie ani podobne jak były na wiosnę, a gdzie ich dzieci? oto płakały, mając pokrępowane łykami na krzyż ręce i nogi, a ich płacz odbijał się o mury Halicza i o góry pod miastem. Słyszał to i Teodor Dersszniak z ludem w mieście, słyszał to i Marcin Łącki z ludźmi, którzy się ukryli za Dniestrem w wąwozach, a na widok tej niedoli swoich braci aż trzęśli się z żalu, ale byli cicho, aby Tatarzy nie domyślili się zasadzki na siebie.

Czekali tylko na znak, jaki im miał dać Hetman Koniecpolski. A znakiem miało być podpalenie stodoły miejskiej, za którą Hetman zapłacił sam.

Zazwyczaj dawni Polacy obierali sobie dni Matki Najświętszej albo św. patronów do rozpoczęcia bitwy. Wojsko oddawszy się całe w opiekę Matki B., albo patrona którego, zaczynało bitwę i zwyciężało. Tak też i około Halicza wypadło z Tatarami, że w sam dzień świętego Antoniego napadli na nich Polacy. Pan Hetman wysłał przed wieczorem do Halicza jednego rycerza, aby zapalił w nocy stodołę na znak, że z wojskiem idzie na pomoc.

Gdy się stodoła paliła, zagrzmiały dzwony Halickie, wojsko wypadło na obóz tatarski, rozpędziło Tatarów na wszystkie strony, a wtedy Teodor Derszniak otworzył bramy i wypadli mieszczanie i dalejże na poganów Tatarów, którzy uciekali do Dniestru, bo tylko do rzeki mieli wolne miejsce. Pan Hetman nagnał tych rabusiów na wodę: kto mógł, to bił i ścigał, a znowu z drugiej strony Dniestru wyskoczył Marcin Łącki z ludźmi swoimi i nie puszczał Tatarów do brzegu. Tak też wytopili się Tatarzy, a resztę dobili Polacy.

Rano po św. Antonim był dopiero widok straszny! Kupy trupów, a na boku tysiące pokrępowanych młodych dziewcząt i chłopców, a ile bydła zrabowanego i różnych rzeczy. To wszystko odesłano do Lwowa, spisano i po całym kraju ogłoszono, aby matki przychodziły po dzieci, ludzie po bydło, a które dziewczęta i chłopacy mogli sami do domu wrócić, to dostali na drogę pieniądze i szli do domów.

Pamiętnym stąd jest dzień św. Antoniego dla miasta Halicza.

Haliczanie dostali w nagrodę na tę pamiątkę jarmark na początku Lipca co rok, jak to trwa do dziś, a Teodor Derszniak został szlachcicem, a jego rodzina dorobiła się majątku, miała wsie około Przemyśla i fundowała kościoły, jakie stoją dziś n. p. w Miżyńcu, Rokietnicy i t. d.

Wy, bracia Rusini, co tę historyę może czytać będziecie w Galicyi, nauczcie się od waszych dziadków, którzy już w grobie, a którzy z grobów swoich wołają: „Dzieci, miejcie rozum, bójcie się Boga, żyjcie w zgodzie, trzymajcie się Ojca św. a nie słuchajcie namowy Moskala, bo Moskal każdy to tak jak Tatar, który i kościoły wasze zabierze i dzieci wasze wam odbierze i rodziny wasze zagubi, za wiarę waszą św. zamęczy was, jak to robi w ziemiach przez siebie zabranych od stu lat wszystkim katolikom tak Rusinom, jak Polakom!"

I my wam to samo powtarzamy, a jeżeli nie wierzycie, to zapytajcie tych ludzi, którzy z pod Moskala ledwo z życiem uciekli.

O ZŁOTYCH TŁACH.

Dziękuję Ci, Panie!

Gdy błyśnie słoneczko, ptak zabrzmi w niebiosa,
Buchnie światła morze i dzionek nastanie;
Gdy zniknie mrok ciemny, ulotni się rosa—
Za dzionek i życie dziękuję Ci Panie!

Gdy strudzon w południe odpoczywam chwilę,
Zaraz mi Twa dobroć w myślach moich stanie;
To też pomny tego, zanim się posilę —
Za strawę zesłaną dziękuję Ci, Panie!

Gdy wieczór zapada, wszystko w dom powraca,
Słychać much brzęczenie i ptaków śpiewanie,
Nastaje spoczynek a przycicha praca —
Za pomoc w mej pracy, dziękuję Ci, Panie!

Kiedy w nocnej ciszy na niebios sklepieniu
Księżyc wśród gwiazd jasnych zacznie panowanie,
Myślę o Twych cudach, dumam w uniesieniu—
Za Twe cuda dla nas, dziękuję Ci, Panie!

I tak w dzień i w nocy do niedzieli świętej
Wznoszę do stóp Twoich pokorne wołanie,
Bo nas wspierasz ciągle z łaski niepojętej —
Za dobroć i łaski dziękuję Ci Panie!

Gdy cudna wiosenka świat nasz rozweseli,
Z wółkami moimi znów staję na łanie.
A skowronek pieśnią radość ze mną dzieli—
Za nadzieję moją dziękuję Ci, Panie!

Gdy słoneczko złote promieńmi skwarnemi
Uzłoci obszary i żniwo nastanie,
Za plony jam wdzięczny ukochanej ziemi—
A za dary Twoje dziękuję Ci Panie!

Gdy jesień zawita i chłodna i dżdżysta,
Jam spełnił na roli powinne zadanie,
I wszystko mam w schowku, radość oczywista—
Za chojność tak wielką dziękuję Ci, Panie!

Po jesieni zima z mrozami nastaje,
Słychać jęk ubogich, o wsparcie błaganie;
Ni głodu, ni zimna wcale nie doznaję —
Za opiekę czułą dziękuję Ci, Panie!

Gdy wszystkiego w miarę w mem życiu używam,
Z ust moich nie wyjdzie nigdy narzekanie,
Albowiem się chorób wcale nie spodziewam—
Za zdrowie i czerstwość dziękuję Ci, Panie!

Gdy złego nie robię, owszem dobrze czynię,
Nie spotka mię pewnie współbraci łajanie;
Szczęśliwym, że względem drugich nie zawinię—
Za miłość bliźniego dziękuję Ci, Panie!

LIST
Jego Excellencyi Ks. Biskupa Foley'a
do
PRZEW. KS. JOZEFA DĄBROWSKIEGO
Rektora Seminaryum Pol. w Detroit.

Detroit, Mich., March 7 1892

V. Rev. F. Dombrowski:
Superior Seminary SS. Methodius & Cyrillus:
Vy Rev. dear Father:

It affords me great satisfaction to offer you a public recognition of the earnest labors you have bestowed upon the development of the Seminary, intended for the education of Polish young men, preparing for the holy Priesthood.

I earnestly pray Almighty God to bless and prosper your individual efforts as well as those of the Reverend gentlemen associated with you in this good and noble work.

It is to the Seminary ably conducted that we must look for the aid that will enable us to meet the wants of our growing Polish population.

Yours faithfully in Xt
+ John Foley
Bp of Det.

W IMIĘ PRAWDY.

Pewien polsko-amerykański tygodnik, którego imię dla przyzwoitości opuścić tu musimy, ostatnimi czasy w zjadliwej korespondencyi z Grand Rapids, a mniemanem piórem z Detroit, brutalnie napadł jedyne w Stanach Zjednoczonych Seminaryum Polskie.

Przewielebny Ks. Józef Dąbrowski, Rektor tego tak drogiego każdemu Polakowi Zakładu, przezwany w piśmie szyderczo „M a j s t r e m d o w s z y s t k i e g o", odarty z honoru i sławy, pozbawiony zasług, jakie na ołtarzu prawdziwej Wiary i Ojczyzny już złożył, wyśmiany, wyszydzony i porównany z nietoperzem wkońcu, na dobitek jeszcze wyraźnie odsądzonym został od katolickich przekonań.

Profesorowie Seminaryum, cicho pracujący nad kształceniem młodzieży Polskiej, stając też pod zarzutem napastnika bez serca, szkodliwie nazwanymi przezeń zostali „otoczeniem humbugu"; następnie upomnieni surowo, skarceni słowem dowoli i z niesławą jeszcze odesłani wkońcu do browaru p. Zyndy, na rozkaz tego korespondenta z Grand Rapids mają złożyć profesorskie swe togi!

Najpierwszym wychowańcom Zakładu: W.W.Ks. Ks. Słomińskiemu, Gulczowi, Wałajtysowi i Muellerowi, przy pomawianiu ich o jakieś suspensy, również dostała się monitorska nagana, owinięta nawet w delikatną powłokę kapłańskiej gorliwości o sprawy Katolickiego Kościoła; ten wszakże zapał pobożny nie przeszkodził korespondentowi szydzić z łysiny — niby z tonsury — jednego z najstarszych i najpoważniejszych Kleryków, który w Seminaryum polskiem w Detroit z poświęceniem pełni obowiązki Profesora zarazem i w miarę sił własnych dopamaga swoim Zwierzchnikom w szlachetnej pracy nauczania maluczkich.

Wyszydzić, wydrwić, zbeszcześcić i wkońcu śmiać się bezkarnie — w Ameryce nie trudno, zwłaszcza, gdy ofiara napaści jest skromną i przez szacunek dla siebie wojować nie śmie z „brudasem." To też, zamiast Sądu Przysięgłych, —gdy na biedny Zakład nasz Polski rzucają czy jeszcze rzucą się „brudni"—my zdajemy się odtąd. li na sąd opinii publicznej i z dokumentem w ręku, który w tłomaczeniu podajemy niżej, prosimy w imię sprawiedliwości wszystkie uczciwe polskie tak tu jak i w Europie Sz. Sz. Redakcye, aby powyższych słów kilka łącznie z dokumentem dla dobra sprawy publicznej i bratniej usługi powtórzyć raczyły.

Detroit, Mich., 7 Marca 1892 r.

PRZEWIELEBNEMU KS. DĄBROWSKIEMU

Zwierzchnikowi Seminaryum Ś. Ś. Cyryla i Metodego.

Przewielebny i Drogi Ojcze!

Wielką mi sprawia przyjemność, że mogę wyrazić Ci publiczne uznanie za gorliwą Twą pracę, którąś przedsięwziął, by rozwinąć Seminaryum ku kształceniu młodzieży Polskiej i sposobić ją do świętego kapłańskiego stanu.

Usilnie błagam Wszechmogącego Boga, aby raczył błogosławić zarówno usiłowaniom Twoim jak i pracy Twych Współtowarzyszy, których łączy z Tobą to dobre i szlachetne dzieło.

Przypisać to należy umiejętnemu kierowaniu Seminaryum, że upatrywać w niem musimy pomoc, która pozwoli Nam spotkać się skutecznie z potrzebami wzrastającej u Nas ludności Polskiej.

TOBIE ODDANY W CHRYSTUSIE

† **JAN FOLEY, Biskup Detroicki.**

Gdy czasem pokusa do złego mię kłoni,
I chociaż to nad nią trudne panowanie,
Z usilnością wszelką człek się przed nią broni—
Za przewagę nad złem dziękuję Ci, Panie!

A chociaż też czasem i smutek zagości
I sprawi w rodzinie pewne zamieszanie,
Nie szemram, bo smutek drogą do radości—
Za smutek, zmartwienie, dziękuję Ci, Panie!

Gdy widzę ojczyznę cichą i spokojną,
Dobre obyczaje i w wierze wytrwanie,
Czuję, jak ją wspierasz dłonią Twoją hojną—
Za względy dla kraju dziękuję Ci, Panie!

Gdy widzę, jak bracia, szanowni rodacy,
Dążą ciągle naprzód, cenią mądrych zdanie,
Postępują w cnotach i ćwiczą się w pracy—
Za pomoc rodakom dziękuję Ci, Panie!

Na początku, końcu, wśród całego roku
Z całej duszy mojej, ile sił mi stanie,
Z rozczulonem sercem, ze łzą w mojem oku—
Za wszystko w mem życiu dziękuję Ci, Panie!

Ciebie czci świat cały od końca do końca,
Ty nam przysposabiasz przyszłości zaranie;
Gdy mi przed oczyma zgasisz światło słońca—
Za przyszłość nieznaną dziękuję Ci, Panie!

O objawieniu się Najśw. Maryi Panny w Gierzwałdzie.

(Ciąg dalszy.)

Cztery osoby wybrała sobie Najśw. Marya Panna, aby je uczynić widzami swego cudownego w Gierzwałdzie objawienia się. Pierwszą taką uprzywilejowaną osobą była Augustyna Szafryńska, dziewczynka czternastoletnia ze wsi zwanej Nowym Młynem leżącej tuż obok Gierzwałdu i należącej do tejże parafii; wzrostu na swój wiek średniego; postawy wątłej, biernej, tuszy chudawej; słowem była to, jak mówią, dobrze ułożone poczciwe, skromne, ale bardzo zwyczajne dziewczę, które w innych okolicach niczyjejby pewno na siebie nie zwróciło uwagi. Twarz jej wyglądała blado, pociągłe, ale dosyć regularnie, tak że nie odznaczała się niczem, coby ją od innych dziewcząt w tym wieku odróżniało.

Obojętności tej wcale nie zmieniały jej oczy, blado niebieskie, spokojne, wcale nie żywe, zawsze na siebie zwrócone, a o świat się nie troszczące. Chodząc pomiędzy ludźmi, zdało się jakby ich nie widzi; gdy pomagała w pracy np. w nakrywaniu stołu, wcale nie podnosiła wzroku od swojej roboty, choćby obok niej pełno znajdowało się ciekawych. Ze wszystkich czterech osób, co miały szczęście widywać N. Pannę, Augustyna najmniej pokazywała się ludziom na oczy. Na uzupełnienie dodam i ten szczegół, że chodziła w sukience bardzo skromnej, pół wełnianej a pół bawełnianej. Na głowie nosiła ciemno-czerwoną wełnianą chusteczkę, podpiętą pod brodą tak, jak to zwykle w miastach naszych noszą dziewczęta stanu uboższego.

Drugą z osób w mowie będących jest Barbara Samulowska. Liczyła ona wówczas lat dwanaście, a pochodziła z wioski Woryt, położonej o jakie ćwierć mili na północny zachód od Gierzwałdu, również z ubogiego stanu wiejskiego. Jeżeli Augustyna Szafryńska, jak piszą w pozostałych aktach, jest obrazem cichości i wielkiej nawet powolności, to przeciwnie mała Barbarka biega ciągle, jak kozaczek lub młoda sarenka. Twarzyczkę ma bardzo nieregularną; nosek zadarty, usta szerokie, z poza których widać ciągle białe rzędy nie zupełnie drobnych ząbków; oczy ma czarne, płoche; cera jej twarzy, jeżeli nie opalona, to oliwkowa z natury, a włosy ma ciemne. Barbara prawie nie chodzi, tylko ciągle skacze; gdy ją chcesz zatrzymać, ledwie się obróci, ledwie posłucha, wyrwie się i ucieka dalej.

Jestto obraz niczem nie skrępowanej swobody, obraz prostoty, niewinności duszy, jak przystało na małą wiejską dziewczynę z zakątka kraju, o którym dotąd nikt nie wiedział. Ubiór Barbary podobnie jak u Augustyny jest biedny, tylko jest kolor nieco odmienny, a głowa jej po największej części bez nakrycia.

W roku 1877, z powodu cudownego objawienia się N. M. Panny w Gierzwałdzie, pisano w gazetach co następuje: Trzecią osobą jest Katarzyna Wieczorkówna, wieku 23 lat licząca, lubo wygląda daleko młodziej. Wzrostu jest średniego, twarzy białej, i jak na wiejską dziewczynę dosyć delikatnej. Rumieniec lekki przebija się przez jej całe policzki. Oczy szaro-niebieskie mają nadzwyczaj łagodny wyraz, i zdają się nie widzieć, co się w koło nich dzieje. Katarzyna chętnie rozmawia z każdym, ale łatwo poznać po niej, że myśli jej nie wiele zajmują się tym światem. Twarz jej jest jakby nieco znużona, i cała wygląda tak, jakby jej żal było, że musi odpowiadać na zapytania. Głos ma łagodny, cichy; ruchy bardzo skromne; ubior prostej służącej wiejskiej, słowem jest to istotnie pokorna służebnica Pańska. Mówi nieco po niemiecku, a że w Warmii mówienie po niemiecku uchódzi za coś mądrego więc Katarzyna zwykła po niemiecku mówić tak długo, dopóki się kto po polsku o co nie zapyta.

Ostatnią wreszcie z tych szczęśliwych osób jest, piszą dalej gazety, Elżbieta Bylitewska, wdowa. Z powierzchowności wygląda bardzo ubogo. Na szarej lub fioletowo anilinem farbowanej sukni, nosi kaftanik czarny, skromny. Na głowie miewa białą chustkę, zawijaną sposobem niewiast polskich, aż pod suknią na szyi. Twarz jej chuda, blada i już nieco pomarszczona. Oczy ma czarne, a rysy twarzy nieznaczne. Patrzy ciągle skromnie i jeżeli niekiedy ku górze swym wzrokiem rzuci, to czyni to jakby ukradkiem. W mowie jest wzorem bogobojności i ciągłej a zupełnej gotowości oddania się Bogu ciałem i duszą na całkowitą służbę. Jestto obraz uosobionego ubóstwa, ufnego w miłosierdzie Boże, co wcale nie troszczy się o jutro.

Wyliczywszy osoby, które sobie Najśw. Marya Panna wybrała, aby je uczynić widzami swojej majestatycznej piękności, przystępujemy teraz z kolei do opowiedzenia samego objawienia się, które w następujący odbyło się sposób:

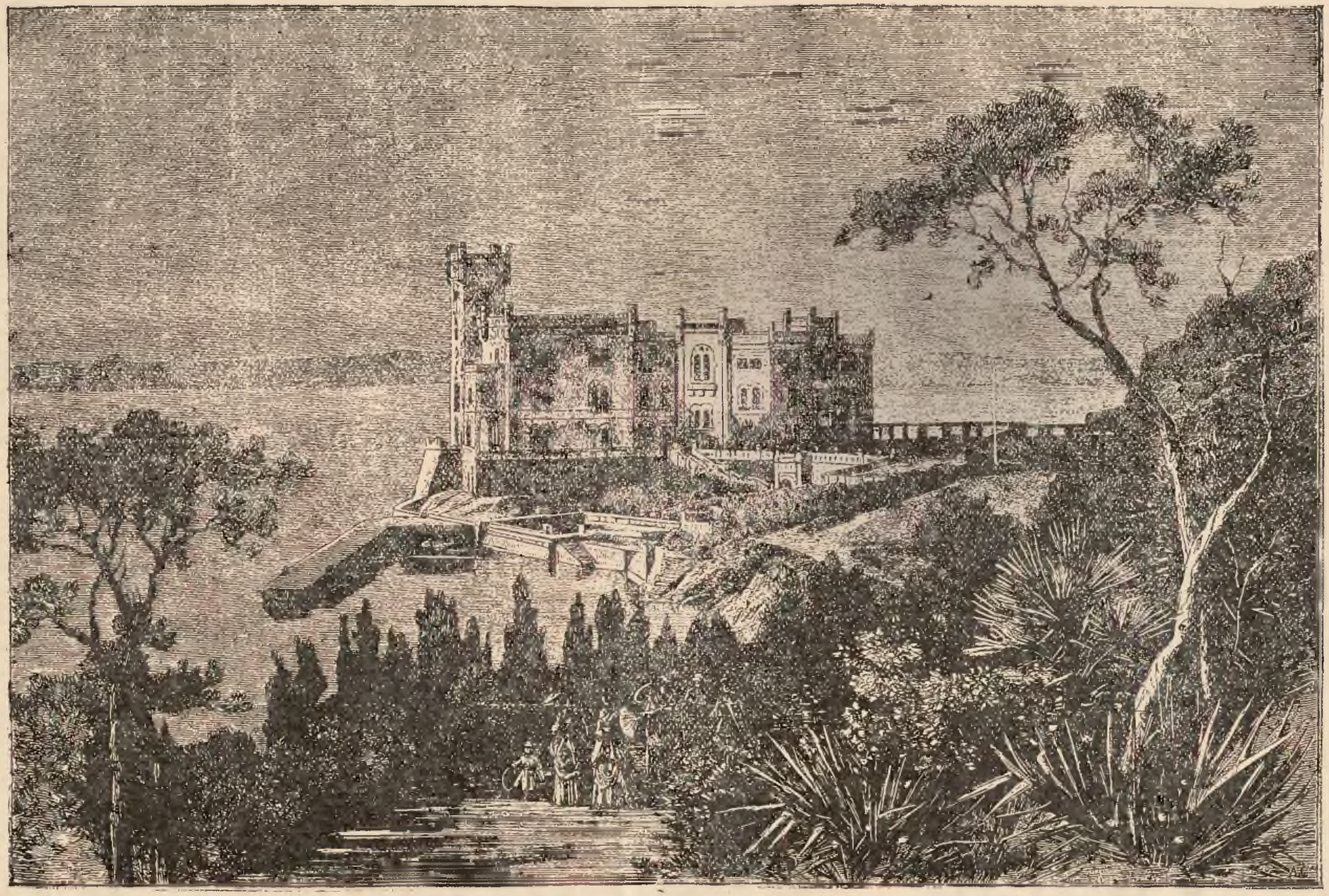
Miejscowy proboszcz ks. Weichsel, jako troskliwy o dobro swoich parafian pasterz, przysposabiał przez miesiąc czerwiec 1876 roku, dzieci szkolne do pierwszej spowiedzi i pierwszej komunii św. Do tych dzieci należała także Augustyna Szafryńska. Z wielką ochotą chodziła ona na tę naukę przygotowawczą, ale ponieważ niewielkich była zdolności umysłowych, więc z obawy, aby przy egzaminie nie okryła się wstydem, modliło się niewinne dziewczę gorąco do Najśw. Maryi Panny, o skuteczną pomoc. Najśw. Panna wysłuchała jej prośby i egzamin powiódł się jej nad wszelkie spodziewanie bardzo dobrze. Była przytem śmiałą, odważną i odpowiadała daleko lepiej od swoich współtowarzyszek, co dotąd nigdy u niej aż do tego stopnia nie bywało.

Po egzaminie z katechizmu, który się odbył dnia 27 czerwca 1877 r. powracała uszczęśliwiona Augustyna około godziny 9-tej wieczorem do domu. Po drodze spotkała matkę swoją, która też była z jakiegoś powodu w Gierzwałdnie. Matka Augustyny zobaczywszy ją, zapytała z pospiechem i ciekawością zarazem:

— A jakże, przyjmie cię, moje dziecko, ks. pleban do komunii św.?

— Przyjmie—odpowiada Augustyna—bo już tak wszysko umiałam, kochana Matulko, żem się sama tego nie spodziewała. Alem się też mocno modliła do Najśw. Panienki, by mi dopomogła.

I obiedwie, matka i córka nad wszelki ucieszone wyraz, zabrały się czemprędzej do domu. Gdy kilkanaście zaledwie kroków postąpiły na drodze, prowadzącej koło cmentarza parafialnego do Woryt, odezwał się na wieży kościelnej dzwon wzywający wiernych do odmówienia modlitw na „Anioł Pański." Była już 9 godzina wieczór. Obie zatem uklękły na drodze, zwracając się ku kościołowi i zmówiły nabożnie Anioł Pański. A stało się to właśnie w tem miejscu, gdzie, jak z opisu wiemy, stoi ów klon stary, rozłożysty, to jest, przy parkanie cmentarnym, stykającym



ZAMEK MIRAMARE.

się z plebańskim ogrodem. Gdy Augustyna, klęcząc pobożnie przy drodze, mówiła z matką swą Anioł Pański, ukazała się nagle wielka jasność na wspomnionym klonie i w tej jasności pojawiła się niewiasta przecudnej piękności. Co widząc Augustyna, mocno się przelękła i z krzykiem prawie zawołała na matkę:

— Wejcieno, wejcieno, co to za jasność na tym tam klonie, i jaka tam osoba cudowna stoi!

Matka jednak nic nie widząc, i niczego nie przeczuwając, kazała dziewczęciu iść za sobą do domu.

Augustyna przecież, lubo bardzo nieśmiało, zaczęła się powoli opierać woli macierzyńskiej, bo chciała koniecznie jeszcze wrócić pod klon i oczy swoje cudownem ucieszyć zjawiskiem. Na to ociąganie się Augustyny, nadszedł właśnie ks. proboszcz. powracający z wieczornej przechadzki. O niczem nie wiedząc, tonem pełnym dobroci ojcowskiej, zapytał dziewczynę, czy się cieszy z tego, że po dobrze złożonym egzaminie będzie przypuszczona do najśw. komunii. Dziewczę okazało mu w odpowiedzi niewymowną radość, ale całe będąc przejęte niezwykłem wzruszeniem, z dziecinną prawie szczerością opowiedziało ks. proboszczowi widzenie swoje, prosząc przytem o pozwolenie wrócenia pod klon. Ks. proboszcz pozwolił jej wrócić pod drzewo i sam szedł zwolna za nią.

— O Jegomościulku? teraz jeszcze gorzej, jeszcze gorzej jasno się robi—wołała znowu dziewczynka.

Ks. proboszcz kazal jej uklęknąć i mówić: ,,Zdrowaś Marya'', co dziewczę uczyniwszy, rzekło, że Anioł jasny przybył, i wziął tę cudowną niewiastę ze sobą do nieba.

Oto w ten sposób—dziwnie prosty ale serdeczny, objawiła się po raz pierwszy Najśw. Marya Panna na ziemi naszej. Stało się to dnia 27 Czerwca 1877 r. wieczorem około godziny 9-tej, co na wieczna zapisujemy pamiątkę. Zanim dalsze objawienia w przyszłych numerach opowiemy, tymczasem kończymy dzisiejsze opowiadanie nasze słowy prorockiemi poety:

,,Ciesz się Polsko ukochana!
Bo znajdziesz łaskę u Pana,
Lecz pokutuj, módl się szczerze
I odnów z Bogiem przymierze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WIEŚCI ZE ŚWIATA

Ostatniemi czasy rozeszła się w Warszawie wiadomość, że jenerał Hurko został nagle powołany do Petersbu ga i to w sprawach wielkiej doniosłości. Pogloska sprawdziła się bardzo szybko, gdyż naczelnik „priwislanskawo kraja“, rzeczywiście opuścił Warszawę i to bez żadnych krzyków i hałasów. Rano, cichutko wsiadł do wagonu salonowego i udał się nad brzegi Newy.

Wielcy i mali politycy teraz łamią sobie glowy, co spowodowało nagły wyjazd satrapy warszawskiego i z tego powódu wysnuwają przeróżne plany i kombinacje. Naturalnie, w pierwszej linji starają się wmówić w siebie, że dni panowania Hurki są już policzone i lada chwila zostanie powołany „w senatory“ co w Rosyi znaczy, że się wszelka jego karyera już skończyła.

Więcej przewidujący wymieniają nawet jego zastępców i to same wybitne osobistości, jak: Wielkiego księcia Włodzimierza, wielkiego księcia Sergjusza, obecnego gubernatora Moskwy, jenerała Dragomirowa, hrabiego Szuwałowa, jakiegoś gubernatora pskowskiego czy penzeńskiego i paru innych dygnitarzy. Tymczasem, z pewnego źródła dochodzą wiadomości, że chociaż w najbliższem otoczeniu cara noszono się z myślą zmiany jenerał-gubernatora warszawskiego, lecz wpływ Pobiedonoscewa jest jeszcze tak silny, iż wszelkie pokuszenia w tym kierunku okazaly się bezsilnemi i Hurko, w dalszym ciągu, będzie gnębił nieszczęśliwą ludność Królestwa Polskiego.

Obecny jego wyjazd i zapowiedziany dluższy pobyt w Petersburgu, odnosi się tylko do spraw czysto wojskowych. Jakkolwiek o wojnie nikt teraz nie mówi w Rosyi i nawet najzagorzalsi szowiniści panslawistyczni, czasowo złożyli broń do nogi, jednakże mimo kłopotów pieniężnych i głodu, rząd wytęża wszystkie siły, aby armja rosyjska stanęła na równej stopie z niemiecką i austryacką. Obecnie, we wszystkich pułkach piechoty i kawaleryi, zmieniają karabiny i dawny system Berdana zastąpiony zostaje systemem Lebla.

Naturalnie teraźniejsza „wierna przyjaciółka“, Francya, ofiarowała swoje usługi i wszystkie jej fabryki rządowe i prywatne zajęte są dostarczaniem Rosyi karabinów leblowskich. Jak dotąd, przeszło półmiliona jest już gotowych i parę oddziałów piechoty rosyjskiej w nie zaopatrzono. Obecnie wojska stojące w Królestwie Polskiem mają dostać nową broń i jenerał Hurko, celem bliższego porozumienia się w tej sprawie, bawi w Petersburgu. Następnie mają zajść pewne zmiany w zarządzie wojskowym i niektóre oddziały wojsk, zależne obecnie od dowódcy okręgu wileńskiego, ze względów czysto stategicznych, mają przejść pod zawiadywanie jenerała Hurki.

Nad temi, wymienionemi powyżej punktami będą się toczyły narady w Petersburgu i tylko dla tych powodów, powołano Hurkę do stolicy.

W Okolicach Częstochowy we wsi Gwaszym i Łojki, na gruntach włościańskich, znajdują się kopalnie kamienia węgielnego i rudy żelaznej. Przy kopalni nie ma odpowiedniego kierownictwa i górników należycie z zawodem swoim obeznanych. Niedawno, gdy dwóch robotników kopalo tam rudę, szyb w miejscu tem się zawalił, zasypując nieszczęśliwych; nikt przecież ratunku dać im nie umiał i orzeczono, iż niewątpliwie zabitymi zostali. Przecież w kilka godzin potem, już wieczorem, gospodarz z Łojek, nazwiskiem Żyła, tknięty wzruszeniem litośnem, udał się na miejsce nieszczęścia, przyłożył ucho do ziemi i usłyszał glosy; zdawało mu się nawet, że nieszczęśliwi mówią pacierz; wrócił tedy do wsi, zwołał ludzi i przy pomocy wójta Tajera, zebrawszy gromadę znaczną, 100 osób powiódł za sobą. Kopali przy świetle pochodni z łuczywa przez noc całą, potem przez cały poranek aż do południa i dobrali się już tak głęboko, że glosy ich wezwań zostały usłyszane przez nieszczęśliwych, odpowiadających im. Drzewa, popierające szyb, ułożyły się tak nad nimi, że utworzył się pewien rodzaj dachu. Jeden, młodszy, stał po pas w wodzie; drugi, także w postawie stojącej, był uciskany ciężko przez dwie belki; ale najmniejsze poruszenie mogło zburzyć rodzaj dachu, który się utworzył nad nieszczęśliwymi; mogli się zatem zapaść i ci, którzy z ratunkiem spieszyli, i już zaczęto ustępować, ale Tajer usiłował wstrzymać przestraszonych: przybył mu też z pomocą wikary miejscowy, ks. Bolesław Wróblewski, i gdy nieszczęśliwi mieli już być opuszczonymi przez tych, którzy ratunek nieść im mogli, ksiądz oświadczył, że się spuści do nich, aby im dać ostatnią pociechę religijną, co też uczynił. Gdy przecież sam jeden nic więcej dla ich ratunku zro-

bić nie mógł i wyciągniętym został, wzruszenie ogarnęło przytomnych i rzucono się znów do ratowania nieszczęśliwych, co udało się pomyślnie, ale nie bez wielkiego trudu i niebezpieczeństwa. Na drugi dzień ocaleni wraz z licznym tłumem ludu modlili się dziękczynnie w Częstochowie, w kościółku św. Barbary, patronki górników.

W Warszawie bawił ostatnimi czasy niezwykły podróżnik, wojskowy japoński, major Fukuschilina, który z polecenia swojego rządu wraca z Berlina przez Rosyę do Japonii—konno i w japońskim kostjumie wojskowym. Tłumy ludu wylegały, przypatrując się ciekawie śmiałemu japończykowi, na którym Warszawa ze wszystkich miast miała zrobić najlepsze wrażenie.

Po wsiach i miasteczkach, w okolicy Rygi uwijają się agenci, namawiający lud do wychodźtwa. Tym razem emigracya ma być skierowaną w stronę Kanady, gdzie podobno rząd ofiaruje darmo grunta i czyni wszelkie możliwe ułatwienia. Tą kolonizacyą zajmuje się jakieś towarzystwo londyńskie i całą prowincyę nadbałtycką zarzuca odezwami.

Powódź. W pierwszej połowie z.m. okolice Sandomierza uległy wielkiemu nieszczęściu przez wylew Wisły. Wody na Wiśle przerwały nasypy ochronne pomiędzy Bogaryą a Ostrołęką w jednem, a pomiędzy Bogoryą i Skotnikami w drugiem miejscu. Wszelki ratunek był niemożebny. Wody, powstrzymane przez zatar, mający 18 wiorst długości, zalewały wsie okoliczne tak gwałtownie, że włościanie ledwo życie uratować zdołali, chroniąc się na punkta wynioślejsze. Część ich szukała schronienia na strychach chat. Dopóki piece i kuchnie były całe, dostawano się do nich za pomocą stołków i gotowano pożywienie, gdy jednak podmulone rozsypały się w gruzy, zaczęto szukać pomocy w dworach w Skotnikach, Zajezierzu, Ostrołęce, na plebanii w Skotnikach i t. d. Wszędzie nieszczęśliwi znaleźli pomoc i gościnność. Zalaniu uległy: przedmieście sandomierskie Zawiselcze, tudzież wsie: Doły, Zawierzbie, Kośmierzów, Ostrołęka, Bogorya, Zajezierze, Skotniki, Radowąż, Ciszyca, Świeżyca, Łukowiec. We wszystkich wsiach tych zasiewy ozime zostały zupełnie zniszczone. Woda zaczęła opadać dopiero po 7 dniach. Zalane miejsca zwiedzał gubernator radomski, i ustanowił komitet pomocy dla nieszczęśliwych.

Po stronie galicyjskiej przebrała woda przez wały powyżej Tarnobrzego i zalała pola w Machowie, Kajmowie i Miechocinie. Największą klęskę poniosła wieś Kajmów. Wszystkie zabudowania przez dni kilka znajdowały się pod wodą. Kilkadziesiąt rodzin wskutek tego pozbawionych jest mieszkań i środków do życia. Zachodzi obawa rozszerzenia się tyfusu, który i tak już epidemicznie występuje w tamtejszych okolicach sąsiednich, jak w Tarnobrzegu i Dzikowie. Wydział powiatowy tarnobrzeski przeznaczył tytułem wsparcia dla dotkniętych powodzią bardzo drobną kwotę, która nie zdołała nawet chwilowo zaspokoić głodu nędzarzy. Namiestnictwo i Wydział krajowy galicyjski udzielił starostwu w Tarnobrzegu 600 złr. na zakupno żywności dla dotkniętych powodzią mieszkańców najuboższych.

Klęska głodowa w Rosyi, jak z jednej strony odsłania wiele braków w stosunkach społeczno-ekonomicznych, tak z drugiej strony wywołuje wiele pięknych objawów poświęcenia i miłosierdzia wobec bliźnich. Do tych ostatnich zaliczyć należy ofiarność pisarza hr. Lwa Toltostoja i spokrewnionej z nim rodziny Filosofowa. Chcąc jak najskuteczniej przyjść z pomocą głodnym, hr. Lew Tolstoj nie szukał żadnych komitetów ratunkowych, ale w dwóch powiatach gubernii tulskiej, w których znajdują się jego dobra, urządził swym kosztem 35 restauracyj dla ubogich. Restauracye umieszczono w izbach włościańskich, a w każdej z nich otrzymuje bezpłatnie pożywienie od 70—80 osób. Idąc za jego przykładem, p. Filosofów, właściciel dóbr ziemskich, urządził podobnych kuchni 16. — Piękny również przykład rozumnie pojętego miłosierdzia dała panna A. Zdanowa, nauczycielka ludowa, która, porzuciwszy swe stanowisko, udała się do gubernij głodem dotkniętych, aby swe skromne mienie i siły poświęcić dla dotkniętych klęską głodową. Stamtąd pisuje do swych krewnych listy, które dostają się na szpalty dzienników, jako wybornie malujące położenie ludności miejskiej w guberniach głodem dotkniętych. Oto, co pisze panna Zdanowa z gubernii tulskiej: „Tutaj niesłychanie wiele chorych — oprócz influenzy, grasuje jeszcze ospa. Izby tutaj z cegły i kamienia, drzewa prawie niema, a z tego powodu wilgoć i zaducha wszędzie okropne. W mieszkaniu starosty wiejskiego lampa nie mogła się palić z powodu ciężkiego powietrza. Nie, nie mogłam nawet przedstawić sobie, aby gdzieś ludzie w ten sposób żyć mogli. Wiecie, gdy się widzi to, co ja widziałam, to wstyd i obrzydzenie bierze wziąść co do ust; tutaj niektórzy po kilka dni w ustach nie mają kawałka chleba, a żywią się kartoflami, lub tylko lebiadą. Co dalej będzie — strach nawet pomyśleć.“

Katastrofa na morzu. Srożące się w pierwszych dniach lutego niezwykle silne burze na wybrzeżu angielskim spowodowały kilka wypadków. Najsrożej dotknięty został parowiec „Ejder“, własność północno-niemieckiego Lloydu. Parowiec „Ejder“ należał do najpiękniejszych statków towarzystwa przewozowego, zajmującego się transportem pasażerów z Hamburgu do Nowego Yorku. Był to olbrzym, liczący 450 stóp długości, 47 szerokości, zagłębiał się zaś w wodę na 30 stóp. W dniu kasastrofy puścił się „Ejder“ w podróż przy pięknej pogodzie, mając na pokładzie kilkuset podróżnych. Już w drugim dniu drogi powietrze zaciemniło się mgłą tak silnie, iż kapitan okrętu nie był w stanie oznaczyć, w jakim punktu statek się znajduje. Obliczając jednak w przybliżeniu, doszedł do wniosku, iż „Ejder“ płynie w odległości czterech mil angielskich na północ od Needles. W chwili,gdy kapitan rozkazał rzucić ołowiankę w celu przekonania się, jaka jest głębokość morza, okręt całą siłą maszyn parowych wpadł na skały. O cofaniu się ze skał nie mogło być mowy. Kapitan tedy z zimną krwią rozkazał spuszczać łodzie ratunkowe i przewozić pasażerów kolejno na brzeg oddalony o cztery mile angielskie. Można sobie wyobrazić niepokój podróżnych. Dzięki nadludzkim wysiłkom załogi okrętowej, wszyscy wydostali się na brzeg szczęśliwie. Wysłano następnie z wyspy Wight statek, który przyprowadził podruzgotany okręt do brzegu Anglii. Królowa Wiktorya rozkazała natychmiast zająć się losem rozbitków, którzy po większej części wysiedli na brzeg bez żadnych środków do życia. W liczbie rozbitków było 280 emigrantów; ci wydawszy ostatni grosz na kupno biletu jazdy, nawet na suchy chleb na lądzie stałym nie mieli.

Encyklika, w której Ojciec św. poleca narodowi francuskiemu, aby nie opierał się republikańskiej formie rządu, została, jak się spodziewać należało, przyjętą z wielkiem uznaniem tak przez biskupów, jako też i przez prasę. Gazety najbardziej wpływowe—nawet liberalne podziwiają w niej wielki rozum Papieża i zachęcają naród do pójścia po drodze wytkniętej przez Stolicę świętą.

Dyecezye Angielskie zostaną podzielone wkrótce na dwie prowincye kościelne, z których jedna będzie należała do Archidyecezyi Westminsterskiej, druga zaś będzie miała swego Arcybiskupa w Newport.

W Rabida, w Hiszpanii znajduje się kościołek poświęcony czci N. Maryi Panny, w którym Krzysztof Kolumbus błagał o pomoc Matkę Bożą przed pierwszą swą podróżą do Ameryki. W Październiku r.b. w 400 letnią rocznicę odkrycia Ameryki obraz Maryi ukoronawanym zostanie.

Arcyksiężniczka Małgorzata, córka austryackiego arcyksięcia Karola Ludwika, powstawszy po ciężkim tyfusie, ofiarowała do obrazu N. Maryi Panny nieustającej pomocy we Wiedniu, wielkie złote serce ozdobione brylantami, w które arcyksiężniczka była ustrojona na pierwszym swym balu.

Wiedeń. Od pewnego czasu miasto jest pod wrażeniem mnóstwa zabójstw i łupiestw, które są obecnie na porządku dziennym. Po bliższem zbadaniu rzeczy, pokazuje się iż zbrodnie owe są wynikiem klęski głodowej; niezajęci bowiem a trapieni głodem robotnicy rzucają się na mienie innych lub sami się życia pozbawiają, by kres swym cierpieniom położyć. Ludność złożyła $20,000 na chleb dla głodnych, lecz kwota ta nie jest dostateczną.

Taranto, Włochy. Zaaresztowano tutaj sto trzydzieści ośm (138) osób, podejrzanych o należenie do stowarzyszenia Mala Vita, którego głównym celem są rozboje. Roku zeszłego w Bari oddano pod sąd sto siedmdziesiąt dziewięć (179) osób, oskarżonych o toż samo przestępstwo.

Dnia 5 b.m. jacyś nieznani złoczyńcy podrzucili wielką bombę dynamitową pod pałac ambassady hiszpańskiej w Bruxelli—wybuch jednakże nie nastąpił.

Emigranci rossyjscy, opuszczający Europę przez Hamburg, będą podlegali ścisłej rewizyi lekarskiej, i takim tylko, którzy otrzymają świadectwo zdrowia od doktorów wydelegowanych w tym celu przez rząd Stanów Zjednoczonych, będzie dozwolonem wsiąść na parowce, udające się do Ameryki.

Petersburg dnia 7 marca. Gdy carowa razem z synem, następcą tronu, przejeżdżała przez Newski Prospekt, pewien mężczyzna z czarnymi wąsami, przyzwoicie ubrany, starał się wrzucić jakiś przedmiot do wnętrza powozu; chybił jednakże celu i przedmiot ów upadł na ziemię niedaleko od tylnich kół pojazdu. Carowa zbladła nadzwyczaj, powstała na pół i zemdlona padła na siedzenie. Przedmiotem rzuconym—jak okazało się była puszka metalowa, zawierająca jakąś ciecz; kilka osób przyaresztowano.

KARTKI DLA NAUKI.

Żelazo.

Gdy kawałek żelaza, lub jaki sprzęt żelazny wystawimy przez dłuższy czas na wilgotne powietrze, zacznie powoli żelazo pokrywać się żółtoczerwoną powłoką, czyli rdzą. Rdza ta z czasem staje się coraz grubszą, aż w końcu, jak mówią, zgryzie żelazo. Wówczas całe żelazo w rdzę się zamienia. Sprzęt żelazny, zgryziony przez rdzę, na nic się nam nie przyda, a gdybyśmy go zważyli, spostrzeżemy, że mu wagi przybyło. Prażąc taką rdzę, przekonamy się, że z niej uchodzi para wodna. Prócz wody znajduje się jeszcze w rdzy gaz, zwany tlenem. W suchem powietrzu rdza się nie utworzy. Gdybyśmy znów w odpowiednich do tego tyglach zmieszali rdzę z węglem, a następnie tygiel na wielki ogień wystawili, otrzymalibyśmy z rdzy tej napowrót żelazo czyste, stopione i świecące. I w ziemi znajdują się niekiedy kopaliny, czyli minerały, podobne nieco do rdzy, już to żółtawe, już czerwonawe. Są to tak zwane rudy żelazne. Z rud jako rdzy można otrzymać czyste żelazo. Należy tylko te rudy z węglem, a niekiedy z piaskiem lub wapnem przetapiać w piecach odpowiednio zbudowanych.

Piece takie dla ich wielkości nazywają wysokimi albo wielkimi piecami. Zdaleka wyglądają one jakby odosobnione, bardzo wysokie kominy. Żelazo przetopione w wielkim piecu, po wystygnięciu jest barwy szarawej; bardzo twarde, lecz nadzwyczaj kruche. Nazywa się surowcem. Z surowca wyrabiają moździerze, płyty do kominów i żelaznych kuchni, żelazka do prasowania i t. p. Wyroby z surowca są wogóle bardzo kruche. Dlatego to ani druty, ani blacha, ćwieki, podkowy i szyny pod kolej żelazną nie mogą być wyrabiane z surowca, lecz z tak zwanego żelaza sztabowego czyli miękkiego. Żelazo takie otrzymujemy z surowca, oczyszczonego przez powtórne stopienie w odpowiednych do tego piecach. Żelazo sztabowe ogrzane staje się miękkiem i wtedy z niego różne rzeczy kuć można.

Narzędzia rolnicze: noże, sprężyny i t. p. rzeczy, wyrabiają się z żelaza twardego czyli stalowego. Stal otrzymujemy z żelaza miękkiego przez ponowne przetopienie go i przeprażenie z węglem. Stal jest barwy zbliżającej się do ołowiu.

Żelaza czystego w ziemi nie znajdujemy. Wszystko więc żelazo, które gdziekolwiek jest zostało przetopione z rud.

Z metali tylko złoto, srebro i miedź znajdują się nieraz w ziemi czyste, z niczem nie połączone.—Wszelako miedź i srebro częściej jeszcze znajdujemy w rudach. Inne metale, jak ołów, cyna, cynk, podobnie jak żelazo, z rud się tylko wytapiają.

Rudy cynkowe, znajdujące się w ziemi, są szarawe lub żółtawe i dosyć twarde. Gdyby nie ich ciężar, człowiek ani by się domyślał, że w takich minerałach znajdować się może metal. Rudy pospolicie tworzą w ziemi masy, ciągnące się niezbyt wielkimi pasami, najrozmaiciej pokręconymi.

Ponieważ takie masy rozprowadzone są na kształt żył, przeto nazywamy je żyłami kruszcowymi. — Do przetapiania rud cynkowych, miedzianych i t. p. potrzeba osobnych innych pieców aniżeli te, w których topią rudy żelazne.

Ludzie, którzy się zajmują wykopywaniem rud z ziemi i przetapianiem ich na metale, zwą się górnikami: rudy bowiem najczęściej znajdują się w górach. —Nie wszystkie rudy żelazne podobne są do rdzy. Są i takie, które same wyglądają jakby były czystem żelazem, mając taki sam połysk i twardość. Bez przetopienia jednak na żelazo na nicby się nie przydały. Jest znowu jedna ruda żelazna, znajdująca się w niektórych krajach, która ma tę własność, że gdy o nią pocierać będziemy pręt stalowy, pręt ten nabierze własności przyciągania żelaza. Pręty takie, które mają niekiedy postać podkowy, nazywają się magnesami. Ruda zaś żelazna, służąca do robienia magnesów, nazywa się magnetyczną.

DO RYCIN.

Michał Anioł, sławny Włoski malarz i rzeźbiarz XVI wieku, pozostawił po sobie nie tylko wiekopomne dzieła sztuki na płótnie i kamieniu, ale także wzór dobrych uczynków. — Obraz na stronie pierwszej, wykonany przez Spessler — przedstawia wielkiego mistrza w chwili, gdy pielęgnuje chorego sługę swego. Obraz ten obok trafnego rozkładu, wiernie przedstawia strój Włochów, w XVI wieku.

W bliskości Tryestu nad brzegiem morza Adryatyckiego, wznosi się prześliczny zamek Miramare (str. 333). Cały zbudowany z ciosanego kamienia w stylu normańskim, otoczony ogrodem prześlicznym, urządzony wewnątrz najwspanialej. uzyskał on też nazwę ,,Mieszkanie bogów.'' Tu lubiał spędzać wolne chwile książe Ferdynand Maksymilian; stąd wsiadł na okręt, udając się do Meksyku, gdzie miał zasiąść na nieszczęśliwym tronie cesarskim.

Poprawa złodzieja.

W poblizkiem miasteczku odbywał się jarmark. Z Paradówki wyszli prawie wszyscy ludzie, ażeby sobie kupić to i owo, zabawić się wesoło lub też potańcować. W całej Paradówce była jeszcze wieczorem głucha cisza; nie widziałeś człowieka ani na lekarstwo.

Studnia, przy której zazwyczaj o tym czasie dziewczęta prowadziły rozmowy i chichoty swoje, wyciągnęła długi swój żóraw, jakby się ciekawie pytać chciała: Czyż to już dzisiaj nikt do mnie nie przyjdzie po wodę? A pod wielką lipą, gdzie wieczorami młodzi chłopcy siadywali, śpiewając pieśni, nie znać było ani życia, ani ruchu, tylko z wierzchołka drzewa wycinał ptaszek swą wieczorną piosnkę. Nawet stary pień, przy którym dziatwa się zabawiała, spinając się nań bez ustanku, leżał opuszczony; nie było przy nim żywej duszy, tylko kilka mrówek, zapóźniwszy się w pracy, spinało się tu i owdzie, aby sobie zanieść pożywienie.

Powoli zapadał mrok szary; coraz było ciemnej i ciszej, a podczas gdy wesołe ptaszki kryły się w swoich gniazdkach, wylatywały nietoperze i bujały po powietrzu, chwytając owady nocne.

Wtem wyszedł mężczyzna z za rogu stodoły. Przesuwał się po cichu i bojaźliwie wzdłuż muru w tej stronie, gdzie było jak najciemniej. Oglądał się przytem lękliwie na wszystkie strony, jakby spostrzegł człowieka, który za nim śledził. Czując się jednak zupełnie bezpiecznym, wydrapał się na mur i sunął cichaczem jakby kot na rękach i nogach aż do tego miejsca, gdzie mur przytykał do domu. Potem zsunął się lekko i wlazł w okno, które właśnie było otwarte.

Mężczyzna, jak się łatwo domyśleć można, nosił się z złymi zamiarami. Był to złodziej, który postanowił okraść tych ludzi, którzy tu mieszkali.

Wszedłszy przez okno, znalazł się w próżnej izbie. Obok mieszkali właściciele domu. Drzwi, które tam prowadziły, nie były zamknięte, lecz na pół otworzone.

Złodziej sądził, że ludzie z tego domu byli także na jarmarku. Nie dowierzając jednak, bo mógł ktoś przypadkiem być w izbie, przyłożył ucho do drzwi i zaczął podsłuchiwać.

Patrząc przez dziurkę w zamku, obaczył przy lekkim blasku samotne dziecię, które mając złożone ręce, głośno odmawiało pacierz. Dziecię modliło się pewnie, bo miało pójść na spoczynek.

Złodziej rozmyślał nad tem, jakby najlepiej uskutecznić kradzież; wtem usłyszał, jak dziecię dobitnym, zrozumiałym głosem wymówiło te słowa: I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

Słowa te od razu przeszyły serce niepoczciwca; sumienie zaczęło go niepokoić. Uczuł, jak wielkim jest występek, którym znowu chciał napiętnować naganne swoje życie. Złożył więc ręce i modlił się najgoręcej: Nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

I Bóg wysłuchał jego prośby.

Tą samą drogą, którą przyszedł, wysunął się z pustej izby i przybył do swego pomieszkania. Tu, powiedziawszy o wszystkiem co zaszło, zaczął z całego serca żałować swego dotychczasowego życia, prosił Boga o przebaczenie i dziękował mu za opiekę, którą roztoczył nad nim za pomocą kornej modlitwy małego dziecka.

Był potem pracowitym i porządnym człowiekiem i uczciwą pracą zarabiał na swe utrzymanie.

Prośba do polskich rolników [farmerów].

Od jednego z wyższych zakładów naukowych rolniczych w kraju otrzymałem zlecenie o przesłanie nasienia amerykańskiej czerwonej koniczyny (Trifolium pratense, der Klee) dla doświadczeń naukowych, robionych w tymże Instytucie. Ponieważ idzie tu o tak szlachetny cel tj. pożytek naukowy dla naszych Braci w starym kraju a ja sam z danego mi polecenia należycie wywiązać się nie mogę, przeto niniejszem udaję się z prośbą do Sz. Rodaków, pracujących przy gospodarstwach rolnych (farmach) w Stanach New York, Massachusetts, Texas, Colorado, California, Nebrasca i Michigan, aby byli **łaskawi przesłać mi z tych miejscowości 600 — 700 gramów czerwonej koniczyny ze zbioru 1891 roku.**

Przy przesyłce proszę załączyć dokładny opis miejscowości, gruntu, klimatu i dat, dotyczących uprawy, abym mógł dać dokładne sprawozdanie Instytutowi.

Upraszając polskie pisma o powtórzenie niniejszej prośby do naszych Rodaków, kreślę się

z szacunkiem

Dr. K. Laskowski,

Profesor Seminaryum Polskiego w Detroit, Mich.